

Właśnie przeczytałem komentarz jednego z naszych widzów, Lucjana, który zaprotestował jakoby PiS zwyciężyło wybory obiecując jakąś nową definicję Polski, czy nową ideę porozumienia rząd – obywatele. Jak stwierdził Lucjan, ogół wyborców myśli głównie o pieniądzach, a 500 złotych miesięcznie na dziecko to obietnica robiąca wrażenie. Sądzę, że Lucjan ma rację.

Wynika z tego, że wielu Polaków nie będzie stawało w obronie Trybunału Konstytucyjnego czy innych elementów demokratycznego państwa prawa. Niestety, dla wielu wyborców spór o abstrakcyjną dla nich instytucję, mającą rolę trudną do wyjaśnienia osobie skrajnie niezainteresowanej polityką i życiem społecznym, nie ma się nijak do perspektywy zwiększenia comiesięcznego budżetu o pokaźną kwotę.

Przed wyborami parlamentarnymi lewica (zarówno ta Zjednoczona, jak i ta Razem) też przebąkiwała o tym, że choć Polska się rozwija, to zwykły obywatel nie czerpie zysków z tego jej rozwoju. Wskazywano na niską korelację PKB kraju do realnych wynagrodzeń. Jednakże Kaczyński nie bawił się w żadne analizy i filozofię, posłużył się po prostu prostą obietnicą, którą ludzie usłyszeli. Usłyszeli ją tym mocniej dzięki protestom ludzi znajdujących się na ekonomii i gospodarce kraju.

Platforma Obywatelska nie miała szans przebić tak atrakcyjnej obietnicy. Nie tylko dlatego, że nie jest nawet w połowie tak populistyczna jak PiS. Wyobraźmy sobie teoretycznie, że PO obiecałoby 800 złotych na dziecko. Po ośmiu latach rządów Platformersów, którzy raczej nie rozdawali pieniędzy dla kupienia sobie poparcia, mało kto by uwierzył w realność tej obietnicy. Pojawiłby się natychmiast argument: „Dlaczego nie daliście tej kasy 2 – 5 – 7 lat temu?”. PO próbowało składać bardziej racjonalne obietnice wyborcze, ale oczywiście były one dla statystycznego wyborcy dużo mniej zrozumiałe, niż prostota stwierdzenia: „500 złotych na dziecko”.



Co ciekawe, sam pomysł wspierania dzietności narodu nie jest zupełnie bezsensowny. Europa boryka się ze starzeniem się społeczeństwa do tego stopnia, że niektórzy chcą traktować uchodźców z Syrii i jeszcze liczniejszą grupę osób podszywających się pod nich, jako lekarstwo na starzejący się rynek pracy. Oczywiście jest to ponury absurd, bowiem rynku pracy nie powinno się łątać osobami z terenów ogarniętych wojną domową, osobami wyznającymi skłaniającą wiele z nich do alienacji i fanatyzmu religię, osobami posługującymi się językiem bardzo dalekim od tych używanych w Europie. Uchodźcom należy pomagać, ale nie dla łątania rynku pracy. Należy ich ocalić i pomóc im wrócić do siebie, przyspieszając jednocześnie zakończenie konfliktu w ich kraju. Rynek pracy łąta się tak, jak czynią to Kanadyjczycy, to jest organizując w krajach biedniejszych nabór osób o odpowiednich umiejętnościach, ewentualnie też szkoląc mieszkańców biedniejszych krajów pod kątem swoich potrzeb. łątanie rynku pracy uchodźcami i nielegalnymi imigrantami jest nieetyczne, bezsensowne oraz naiwne.

Oczywiście jeszcze lepiej będzie, gdy jednak Europejczycy zechcą mieć więcej dzieci. Te dzieci będą wychowane w cieniu europejskiej kultury, europejskich wartości, w tym

poszanowania praw człowieka, będą znały język nie tylko na potrzeby zarabiania pieniędzy, ale również po to, aby smakować kulturę literacką swoich krajów (oczywiście potencjalnie, nie każdy rodzi się miłośnikiem poezji). Lepiej będzie, gdy dla naprawiania swojego rynku pracy nie trzeba będzie wysysać biedniejszych krajów z osób zdolnych, które mogłyby je budować i rozwijać. Dla takich na przykład Indii byłoby korzystniej, gdyby ich zdolni młodzi inżynierowie i informatycy zostawali w kraju, a nie przeprowadzali się do USA. Mniej miejsc pracy dla Hindusów w USA nie stanowiłoby straty dla Indii i większości ich mieszkańców, wręcz przeciwnie. A w istniejącej sytuacji trudno się oczywiście dziwić, że ktoś znający dobrze angielski i mający wysokie kwalifikacje woli zarabiać za taką samą pracę dziesięć razy więcej w innym kraju! Takie zjawisko wystąpiło zresztą do pewnego stopnia na linii Polska – Wielka Brytania. Oczywiście słabszy rozwój danego kraju oznacza również mniejszą ilość miejsc pracy dla wykwalifikowanych pracowników, na przykład mniejszą ilość laboratoriów, gdzie opracowuje się nowe technologie. Gdy bogatszy kraj wysysa biedniejszy z ludzi wykształconych, nie powstają instytuty państwowe i prywatne, nie ma perspektyw pracy dla wielu najzdolniejszych. Niedobra tendencja sama się nakręca, następuje sprzężenie zwrotne. Na dłuższą metę zatem nie ma wiele pozytywnego w łątaniu swojego rynku pracy osobami z państw biedniejszych, nawet jeśli są one dobrze przygotowane do pracy i nie wyznają alienujących i mogących wywołać ich agresję wierzeń i ideologii. Na jeszcze szerszą skalę, gdy bogatsze państwo rozwija swój rynek pracy głównie swoimi siłami, to niewyssane ze zdolnej młodzieży państwo biedniejsze rozwija się szybciej i staje się wartościowszym partnerem handlowym dla państwa bogatszego. Gdyby zdolni inżynierowie nie wyjeżdżali tak masowo z Indii na Zachód, Indie byłyby obecnie dużo większym rynkiem zbytu dla produktów zachodnich. Na Zachodzie i w Indiach pojawiłoby się więcej miejsc pracy i byłby większy dobrobyt.

Dlatego sam pomysł wspierania dzietności społeczeństw

europjskich, w tym Polski, nie jest zły. Pytanie jednak, czy Polskę na to stać. Pytanie też o to, jak będą wyglądać następane wybory? Czy dojdzie do sytuacji, kiedy dwie nowe partie populistyczne będą się w prosty sposób licytować? „Ja daję pensję obywatelską 1700 złotych i dopłatę 50% na pierwszy własny dom!” „A moja partia daje 2100 złotych pensji obywatelskiej i dopłatę 60% na pierwszy własny dom!”. I tak dalej, i tak dalej...

Inny problem pomysłu PiS dotyczącego 500 złotych na dziecko, to kwestia możliwego przejedzenia tej kwoty. Niestety, pojawią się rodzice patologiczni, którzy nie będą dbali o swoje dzieci, traktując je tylko jako przepustkę do większych dochodów. Takie dzieci będą miały straszne dzieciństwo i masę problemów przy wchodzeniu w dorosłość. Wiele z nich nie stanie się idealnymi obywatelami i pracownikami, oględnie mówiąc. Oczywiście ratować tę sytuację mogą boni. 500 złotych w postaci bonów, do wydania na pieluszki, jedzenie dla dzieci, wózki, podręczniki, uczestnictwo w koloniach i wyjazdach wakacyjnych, może nawet zabawki? Ktoś z PiS już mówił o bonach, choć ta informacja została szybko zakryta słuszną wrzawą wokół niecnich poczynań PiSu mających na celu osłabienie niezależności władzy sądowniczej. Obawiam się natomiast, że przy wprowadzeniu bonów populistyczna siła obietnicy PiSu traci na swej mocy, choć oczywiście wprowadzenie takich bonów byłoby znakomitym rozwiązaniem, gdyby tylko państwo było stać na tak gigantyczny wydatek (właściciel sklepu spożywczego czy z zabawkami otrzymywałby przecież od państwa za taki bon jego równowartość w gotówce).

Co z tym wszystkim zrobić? Nie mam pojęcia. Na pewno nie chciałbym, aby kolejne wybory (o ile PiS ich dramatycznie nie utrudni) zamieniły się w festiwal „konkretnych obietnic”, typu 1000 zł na to, 2000 zł na tamto i jeszcze 200 zł za ładny uśmiech i poświadczenie uczestnictwa w przedwyborczej konwencji partyjnej. Podążanie taką drogą szybko doprowadzi

Polskę do greckiej katastrofy, gdzie Syriza kupowała sobie ludzi wpieryw za państwowe, później za pożyczone pieniądze. Myślę, że wielu z nas wie, że można być przez kilka miesięcy lub lat niezwykle hojnym dla wszystkich, pobierając środki dla swej hojności na kredyt. Ale kredyt kosztuje znacznie więcej niż uzyskane w ten sposób kwoty. Po festiwalu hojności następuje nieunikniona katastrofa. Problem w tym, że to nie są pieniądze rządu, ale nasze pieniądze. Problem w tym, że to nie są długi rządu, ale nasze długi. Z drugiej strony rzeczywiście warto wesprzeć polskich rodziców, ale tak, aby nie mogli oni przeznaczyć otrzymanych środków na coś innego, niż dzieci. Oczywiście, większość ojców nie kupi sobie wódki za pieniądze małego Jasia, podobnie większość matek nie kupi sobie za nie perfum. Ale starczy te 5% – 10% wyrodnych, aby pojawiła się za kilkanaście lat generacja wykorzystanej i trudnej młodzieży.